

ROLNICZE DZIŚ I JUTRO

„Proszę o wyjaśnienie, dlaczego w tezach zjazdowych tak mało uwagi poświęca się socjalistycznej przebudowie rolnictwa” — pisał w liście do redakcji ob. J. R. z Ostrowa:

Podobne w treści i formie pytanie, postawiono rok temu Władysławowi Gomułce, podczas jego spotkania z aktywnym społecznym w Fabryce Samochodów na Żeraniu. I sekretarz KC PZPR odpowiedział wówczas półżartem: Towarzysze, czy ja jestem przeciw spółdzielniom? — Rozwijając swoją odpowiedź, stwierdził następnie, że zastąpienie drobnej i zacofanej gospodarki chłopskiej wielką własnością społeczną jest jedyną, zgodną z wymogami współczesnej ekonomiki, perspektywą. Jednakże specyficzny układ warunków naszego kraju, nie pozwala na szybką i powszechną kolektywizację, bez narażenia gospodarki narodowej na poważne trudności. Prawdziwy, a nie formalny tylko, socjalizm w rolnictwie — wymaga wysokiego stopnia dojrzałości samych chłopów i nasycenia wsi wszelkiego rodzaju urządzeniami technicznymi.

Dlatego w tezach zjazdowych podchodzi się do zagadnienia przebudowy rolnictwa z realizmem i odpowiedzialnością. Zapewnienie dostępu produktów żywnościowych dla kraju i na eksport, jest w chwili obecnej zagadnieniem najważniejszym. „Głównym zadaniem rolnictwa — czytamy w tezach — jest przyspieszenie rozwoju produkcji celem dalszej poprawy zaopatrzenia ludności w artykuły żywnościowe, a przemysłu w surowce pochodzenia rolniczego, a także celem utrzymania eksportu rolno-spożywczego i likwidacji importu zbóż”.

Nie oznacza to, bynajmniej rezygnacji z socjalistycznej perspekty-

wy, ku której zmierza polska wieś. Tezy stwierdzają: „W tych rejonach i w tych wsiach, gdzie rolnicy wyrażają chęć zorganizowania spółdzielni produkcyjnej, trzeba pomóc im w zorganizowaniu zespołowej gospodarki”. Wyraźnie więc podkreślona została zasada dobrowolności.

Warunki społeczno-gospodarcze naszego kraju wymagają łączenia walki o socjalistyczną przebudowę rolnictwa z walką o stały wzrost jego produktywności oraz poprawę warunków życia ludności wiejskiej.

Nad тезami na IV Zjazd

Ten właśnie postulat spełniają kółka rolnicze.

Nie należy jednak pojmować tego w sposób uproszczony. Aby zrozumieć ową „polską drogę” uspołecznienia wsi, musimy spojrzeć na całość stosunków, łączących gospodarstwo chłopskie z gospodarką narodową.

Rozwijający się przemysł nie może obejść się bez stałego wzrostu produkcji rolnej. W kraju takim, jak nasz, tzn. zasobnym w ludność, niebogatym w ziemię (0,7 ha użytków rolnych na jednego mieszkańca — Kanada 3,5 ha) i ograniczonych możliwościach inwestycyjnych, znaczną rolę w przyroście produkcji rolnej odgrywa wciąż jeszcze praca ludzkich rąk. W tradycyjnej gospodarce chłopskiej, wzrost dochodu osiąga się m.in. przez wykorzystanie rezerw pracy rodzinnej. W naszych warunkach przynosi ona poważne wartości produkcyjne, zwłaszcza w hodowli.

Jerzy Mańkowski

Tragiczne dzieje Kalksteina

obywatela, jakim przecież był Kalkstein nie zdołał wyjść poza korespondencję i nieudolne, nieskuteczne dyplomatyczne zabiegi.

Elektor brandenburski lekceważył sobie Polskę. Bezsilny jest jego zdaniem kraj, w którym — jak powiada o Polsce ambasador elektorski w Warszawie Haverbeck — „...jeden człek sejm zerwać może... każdy wielmoża swą politykę prowadzi... ogień wojny domowej pożera... ziemię...” (Buntownicy, t. 1, s. 172).

Dzieje Kalksteina obfitują w wiele romantycznych i dramatycznych momentów. Są tam potyczki i sejmikowanie przy szczeku szabla, twarde, żołnierskie życie obozowe i sielankowe na łonie rodziny, burdy i pohlanki, nieszczęśliwa, tragiczna miłość, porwanie i uprowadzenie dziewczyny w stylu sieniawiczowskiego Kmicica, wybatowanie, a potem unurzanie w smole i pierzu majora Weintruba, Niemca, który ośmielił się wejść w drogę Kalksteinowi, przekradanie się do Królestwa przez kordony wojsk elektorskich, spiski i podsycanie do buntu itp. Nie dał się jednak Pau-

Tak więc, aktualnie korzystnym, bo wymagającym znacznie mniej pomocy z zewnątrz, jest taki układ stosunków, w którym obok przyszłościowej, „kapitałochłonnej” produkcji PGR czy spółdzielni, istnieje „pracochłonna” produkcja gospodarstw rodzinnych.

Musimy jednak podkreślić, że nie jest to już zwyczajne powtórzenie chłopskiej gospodarki sprzed wojny. Produkcja rolna bowiem jest kierowana i inspirowana przez państwo socjalistyczne w formie kontraktacji, kredytowania, polityki cen, inwestycji, działalności oświatowej, organizacyjnej, prawnej itp. To oddziaływanie ekonomiczne jest korzystne dla obu stron i wieś bardzo na nie liczy, potrzebuje tego rodzaju inspiracji.

Jednakże każdy myślący człowiek rozumie, że nawet ta, odmienna, istniejąca w ramach państwa socjalistycznego wieś, nie może trwać w swej obecnej strukturze bez końca. Byłoby to niekorzystne dla kraju i dla samych chłopów. Obecny przyrost produkcji rolniczej nie da się bowiem utrzymać na dłuższą metę bez istotnej modernizacji rolnictwa. Ta zaś przekracza siły pojedynczego gospodarstwa. Inwestycje społeczne w rolnictwie są i będą się stawać coraz bardziej koniecznością życiową, od której zależeć będzie wzrost produkcji (również w przemyśle) oraz poprawa warunków życia i pracy ludności wiejskiej. Dlatego wytyczne, zawarte w tezach zjazdowych, przewidują skierowanie w następnym 5-leciu aż 146 miliardów zł na inwestycje rolne. Będzie to dalszy, powolny krok w kierunku technicznej rewolucji naszego rolnictwa, co stworzy możliwość stopniowego nasycania go elementami socjalizmu.

ksza zwięźle komponującą się w romans historyczno-obyczajowy fabule. Nie uległ urokowi postaci Kalksteina, nie wzruszył na tyle tragizmem jego losów, aby uczynić z niego jedyną i wyłączną przedmiot swych pisarskich dociekań. Usiłowania jego poszły w kierunku stworzenia ambitnej powieści politycznej, powieści z tezą. Teza ta zaś sprowadza się do stwierdzenia, że wbrew interesom polskiej racji stanu, wbrew obiektywnym, sprzyjającym temu warunkom (opozycja antyelektorska w Prusach i w Polsce), Polska nie uznała problemu Prus za ważny dla całokształtu swojej polityki wewnętrznej i zagranicznej, nie potrafiła przewidzieć, jakie następstwa w przyszłości może mieć pobożanie Fryderykowi Wilhelmowi.

Ukazany w „BUNTOWNIKACH” fragment gorzkiej prawdy o błędach polskiej polityki zachodniej, świadczy o tym, że Paukszta umie prawidłowo odczytywać procesy historyczne i wyciągać z nich należyte wnioski. A to jest przecież rzadko w naszym powieściopisarstwie historycznym spotykana zaleta.

Wacław Lica

„Znajda”

W jednym z miast powiatowych okradziono sklep komisyowy. Wartość zabranych towarów wraz z gotówką wynosiła 5000 zł. Złodziejem okazał się uczeń szkoły zawodowej, szesnastoletni Stanisław W. Podczas rozprawy w sądzie dla nieletnich „zaciął się” i nie okazał najmniejszej skruchy. Nic więc dziwnego, że chociaż było to pierwsze przestępstwo Stasia, został umieszczony w Zakładzie Poprawczym w K. Sprawiedliwości stało się zadość. A jednak...

Kiedy ze Stasiem zetknąłem się po raz pierwszy, sprawiał on wrażenie chłopca ponurego i krnąbrnego. W rzeczywistości przeżywał bardzo poważną tragedię, z którą chciał zostać sam i dlatego próbował odgrodzić się od otoczenia płaszczem bezczelności i cynizmu. Zastanawiałem się, skąd w tym chłopcu tyle złości i jakich tajemnic strzeże to dorosłe dziecko? Odpowiedzi na te pytania dostarczył przypadek.

Pewnej niedzieli zdziwiło mnie, że ten zwykle ponury chłopak jest jakoś niecodziennie ożywiony, a nawet rozpromieniony. Sam, z dotąd nigdy u niego niespotykana ufnością poinformował mnie, że odwiedziła go matka. Ten na pozór niezadowolony do głębszych uczuć chłopiec nie posiadał się z radości, że odzyskał matkę.

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 131 19. IV. 1964 Rok IV

Wiele lat upłynęło nim wagony kolejowe przestały przypominać dyżurnie pocztowe, a pierwsze samochody — kabriolety konne. Kształt przedmiotów rodził się zawsze długo i wyjątkowo z naśladowania dotychczasowych form. Najpierw tworzyli je rzemieślnicy. Udoskonalali się one przez wieki. Rewolucja przemysłowa XIX w. wprowadziła wielką technikę i produkcję seryjną, maszynową. Narodziła się masowa tandeta, przedmioty powielane w setkach tysięcy egzemplarzy miały formę niedbałą, niefunkcjonalną i zubożającą społeczeństwo na sprawy piękna. Otaczani coraz brzydszymi sprzętami zaczęli sobie ludzie zdawać sprawę z chaosu tej produkcji, z potrzeby uporządkowania jej form plastycznych i sprowadzenia do kształtów prostych i funkcjonalnych. Na arenę musieli wkroczyć plastycy.

W początkach naszego stulecia rodzi się „sztuka stosowana”, w okresie secesji pojawiają się pierwsze projekty mebli, książek czy plakatów, których twórcami są już plastycy. Na rynkach handlowych zaczynają liczyć się sprzęty i maszyny nie tylko sprawne technicznie, ale i skoordynowane plastycznie, nowoczesne i estetyczne. To plastycy projektują już nowoczesne linie samochodów, nowe kształty maszyn biurowych, pralek czy telewizorów. Na całym świecie powstają instytuty wzornictwa, wielkie zakłady przemysłowe otwierają etaty dla plastyków. W 1959 r. powołuje się i w Polsce przy Prezie Rady Ministrów Radę Wzornictwa i Estetyki Przemysłowej, rozwijać się zaczyna praca naukowo-badawcza Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Na kolejnych targach krajowych i międzynarodowych śledzić już możemy ogromne postępy naszej plastyki użytkowej. Faktem jest powstanie nowej dziedziny plastyki. Nazywa się ona wzornictwem i formami przemysłowymi.

W Poznaniu — mieście Międzynarodowych Targów i wielkiego przemysłu — istnieje szczególne warunki do rozwoju współpracy plastyki z przemysłem. Wielu naszych plastyków realizowało już projekty przemysłowe. W sierpniu ubr. oglądaliśmy w „Arsenale” wystawę „Problematyka form przemysłowych”. Ewy Pruskiej i Jerzego Buszkiewicza; owoc studiów koncepcyjnych nad prototypem nowych form wentylatorów i magnetofonów. Jerzy Sobociński opracował projekt wentylatora gabinetowego, który niebawem ukaże się w handlu, Ryszard Skupin oprócz wnętrza i mebli dla Przedsiębiorstwa Upemysłowanego Budownictwa Rolniczego (meblarstwo jest najstarszą i najbardziej już oczywistą domeną plastyki) dał również projekty obudowy automatu do papierosów dla Przedsiębiorstwa Remontowo-Handlowego w Poznaniu, a obecnie opracowuje projekt kolorystyki wnętrza hali fabrycznej w Zakładach Metalurgicznych w Sosnowcu. Mieczysława Żmudka, opracowała zrealizowaną już kolory-

Olgiard Błażewicz

Plastyk w przemyśle

zacje hal fabrycznych i urządzeń rekreacyjnych w Strzelcach Opolskich. Jan Rassumowski i Leszek Pukijaniec, jako jedni z pierwszych w Poznaniu, pracują na pełnych etatach plastyków w Pracowni Wzornictwa Przemysłowego w Instytucie Maszyn Rolniczych na Stalowej. Mają już na swoim koncie opracowanie kształtów koparki elektrycznej i prototypu młocarni tworzonej wspólnie z konstruktorem od początku całego cyklu produkcyjnego. Wiele projektów zrealizowanych i nagrodzonych na krajowych i zagranicznych konkursach i pokazach mają poznańscy plastycy współpracujący z przemysłem meblarskim: Leonard Kucza, Jan Różański, Rajmund Hałas i inni.

Problematyka form przemysłowych stała się na tyle „dorosła” i potrzebna, że utworzono już przy wszystkich wyższych szkołach plastycznych specjalne wydziały lub pracownie form przemysłowych. Pracownię taką na PWSSP w Poznaniu prowadzi doc. Jan Węclawski z asystentami: Antonim Zydroniem i Andrzejem Jeziorkowskim. Studenti IV i V roku architektury wnętrz w ramach ćwiczeń z tego przedmiotu opracowują na podstawie dokumentacji technicznej z HCP i Tasko projekty wnętrza i kolorystyki wagonów kolejowych „Cegielnińskiego”, a zespół pedagogów tej pracowni opracowuje pod kierunkiem doc. Węclawskiego kolorystykę hal fabrycznych HCP.

Współpraca plastyka z przemysłem obejmuje obecnie dwa zasadnicze pola działania: projektowanie form przemysłowych, czyli wzorów do produkcji seryjnej oraz opracowywanie założeń plastycznych hal produkcyjnych i ich otoczenia. O ile ta pierwsza dziedzina ma przede wszystkim znaczenie handlowe o tyle ta druga — głównie społeczne. Jej adresatem jest robotnik. Jest już rzeczą dowiedzoną i sprawdzoną przez lekarzy i behawistów, że pracując w odpowiednich warunkach robotnik wykonując tę samą pracę mniej zużywa siły i nie odczuwa zmęczenia. Rzeczą plastyka jest tu opracowanie takich założeń kolorystycznych wnętrza i oświetlenia, które w najmniejszym stopniu wpłynąby ujemnie na wzrok i samopoczucie pracownika. Kolor: biały czy też żółty wbrew pozorom nie są najzdrowsze, uczucie zmęczenia zwiększają kolory ciemne, zdereniowania — barwy krzykliwe, a plakat behawowski zawieszony w pobliżu szczególnie niebezpiecznego stanowiska pracy wielokrotnie jeszcze szanse wypadku. Nad tymi sprawami musi również czuwać plastyk.

Kiedyś uważaliśmy plastykę za dziedzinę skrajnie „artystowską”, która nie przynosi konkretnego pożytku. Wielki już czas na zrewidowanie tych poglądów i zrozumienie, że za lat kilkanaście wszystkie zakłady pracy zatrudniać będą obok lekarzy i socjologów także plastyków. Im wcześniej to nastąpi tym większe przyniesie korzyści i przez podniesienie wartości handlowej produkowanych towarów i co jest jeszcze ważniejsze — przez stworzenie warunków, w których można będzie zwiększać produkcję.

dokonyuje włamania do komisu, by zdobyć pieniądze na podróż. Przestępstwo zostało jednak dokonane w sposób tak dyktancki, że milicja przychwyliła złodzieja, zanim ten zdążył kupić bilet do Gdańska.

Ze schroniska napisał list do matki, na który nie otrzymał odpowiedzi. Wiedział już, że wyszła za męża i że ma dwoje dzieci. Powoli zaczynał rozumieć, że matka już dawno się go wyrzekła i nie chce go znać. Opiekunowie przybyli dopiero na rozprawę. Stach udawał, że ich nie dostrzega. Miał do nich żal, chociaż teraz nie umiałby już powiedzieć, za co. Czuł się jednak skrzywdzony, lecz postanowił być „twardy” i nie błągać nikogo o litość.

Taką samą postawę przybrał w zakładzie. W rzeczywistości, mecząc się potwornie, czekał ze słabnącą z dnia na dzień nadzieją. Cekał na matkę. Nie na tę, która go urodziła i uczyniła znajdą, ale na tę, której pieśczęty przypominał sobie teraz w nieskończenie długich godzinach samotnych rozmyślań. Były to jednak tak zakonspirowane marzenia, że nie przyznawał się do nich nawet przed samym sobą. Dlatego też sam nie uczynił nic, by odzyskać utraconych rodziców.

Na szczęście opiekunka Stasia naprawdę kochała swego marnotrawnego syna i nie czekała na akt skruchy z jego strony lecz w tajemnicy przed mężem pierwszą podała mu pomocną dłoń. Uratowała człowieka i odzyskała syna. Stanisław W. był przestępcą z przypadku. Popchnęła go na tę drogę ludzka beznadziejność, a wyciągnęła miłość i wielkie serce przybranej matki.

Z suchymi oczami asystowała jego odejściu w las, tak samo przyjęła wiadomość o spaleniu ich gospodarstwa nad jeziorem Wielkim niedaleko rzeki Włodawki.

Przed powrotem odstręcają zwężone przyciesia i obnażony do blachy kuchennej komin. Lecz kiedy woda zabrała jeszcze łódź, zostawiona omyłkowo od strony morza, wtedy się u niej skończyło. Spakowała tobolek. Siadała nad świeżym urwiskiem — wiatry przycichły — patrzyła na wielką wodę. Śnieg z rzadka popadający oblepiał napięty pleś, bielili głowę i plecy. Podbiegała Anujka (Maruta jeszcze nie wychodziła), ciągnęła do izby pytając dlaczego płacze. Stara mówiła, że to od złego powietrza i nie wstawała z miejsca.

Sprzedali najlepszą sieć by starczyło na drogę, pojechała pierwszym pocigiem po naprawie toru. Akurat Węgosz nadbrała krzykiem opóźnienia w ruchu spółdzielczym, oieszałość tłumaczył oddaleniem od powiatu, lecz wzbogaconym rybakom dobrze było i bez tego.

Anujka przynosiła ze szkoły różne wieści. Maruta słyszała, że rybakowi wytknięto w tym czasie „Kriegsmarine”, jakieś kutry torpedowe. Niemki i paczki przesyłane z Italii — partyjnym wszak wiatr w żagle nad morzem też wieje, wymyślił więc Węgosz nazwę dla interesu: „Nowy Świt” aby od starego „Świtu” ostro się odseparować, siadł za biurkiem i został głównym macherem od nowych zadań.

Kobieta wróciła po dwóch tygodniach. Przywiezionego obrazu nie da rady powiesić w izbie: roztopiły pluchy cegły z kominu, Polska zabrała opuszczone morgi, wyrabano partyzancki las (szli po ropę do śródka), na pagory wjechały dżwigi, szturmujące omlecone zima niebo. Co starszy z dawnych sąsiadów poszedł w grunt.

— Ładny teraz dojazd do nas, inaczej ktoby dobił przez takie kopy. Z dawnych widoków zostało tylko jezioro. Pod lodem. Maruta popętała o to jezioro, ale myślał o czym innym. Stara posapując, machnęła ręką.

— Co zrobimy? — wróciła do rzeczy.

Począł na Anujkę. Kiedy przyszła ze szkoły oznajmił, że z wiosną opuszczają półwysep i odjadą na wschód. Nie powiedziała „nie”, nie powiedziała „tak”, zrozumiał jednak, po czasie pojechała i Marutę: dziecko jest stad, mogą wyjechać bez niej, sami są stamtąd, raczej są już znikąd. Nie wolno małej wyrwać z lichej gleby, przeżartej sola, po której tutejsze krowy i przybyszy z daleka ogarnia szal. Żarnowiec rośnie na piasku.

Oto i prezent z raczyny co ledwo parcia torbę z książkami udźwignie. Zaraz włożył jej w dłoń szklaną kulę:

— Takaś, nie myślałem. Na, baw się, to po twoim ojcu...

Pierwszy raz przez niego płakała. Zupełnie się w tym zatracił.

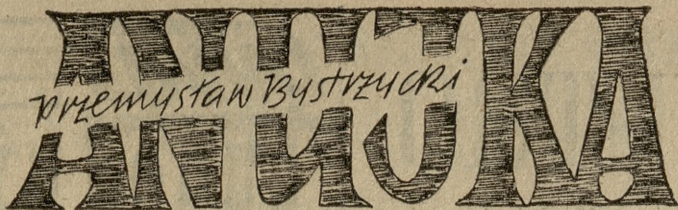
— Odciepli całkiem...

Fala rzeczywistości objęła ich z czterech stron. Odzeglłowali jak na tratwie z zabranym wcześniej przez wodę ociekającym piasku.

— Urząd niech pomoże, co mi za-
leży.

— Mówiłam durny, już powinie-
neś pamiętać, kołchoz nikomu nie
dał wybaczenia...

— Wybawienia poszukam u pro-
boszcza. Ide jutro, dużo strace? Dia-
bli rozłożyli po świecie co własne.



[OPOWIADANIE]

— Przychodzę wiec... — nie zastał Węgosza w urzędzie, stał nad wodą w „kupie”. Zdał czapkę, czoło miało mokre. Szedł ciepły wiatr, niosło bryze.

— Wcześniej was nie było?

— Nie było — powtórzyła reszta.

— Nie było — odparł machinalnie Maruta.

— „Świt” był dla zasobnych, „Nowy Świt” robię dla dziadów.

— Dla rybaków — odpowiedziała „kupa”.

— Jak będzie?

— Tak, jak mówią porządk: będzie rybak i udział, będzie gadanie.

Otarł Maruta twarz wierzchem kaszketu; nacisnął na uszy.

— Ustawa mówi, że mnie udział nie obowiązuje. Co dam kiedy nie mam?...

— Nie obrażaj, Maruta, inni wiedzą lepiej co mówi ustawa; z cudzego garnka chcesz żreć?

— Łódź mi zabrało, sprzedałem najlepszą sieć, macie wy, ludzie, sumienie?...

— Obrażasz, obrażasz, a miałeś nie obrażać. A ty masz sumienie dla ludzi. Trzymasz tutejszą, a co ci do niej?... Łodzi dużo, patr — wskazał na obłe skrzynie wywalone na brzeg — sieci też. Za motorem sobie stಾನiesz, pójdziesz na Wielkie Morze. Dla biednych robisz taki hałas, prawdziwym gospodarzom cudzego nie trza.

W piasku zamigotało szkło, zczernienie od słońca.

— Nie trza — odpowiedziała reszta.

Echliwie mrowie szło po prawej ręce. Otwartymi ustami lękał powietrze, aby nie przestać widzieć. Fala pobiegła pod stopy, w bucie uczył chłód.

— Jakże mam dziecko wnieść zamiast udziału? Przyjąłem je już za swoje. Sądownie...

W tym tygodniu jeszcze pojechał z żoną do Pucka. Sporządzono z nich w sądzie oświadczenie woli, podpisali oboje, ale na wynik wbrew przewidywaniom, musieli poczekać. Po powrocie powiedziała Anujka, że wracając ze szkoły, spotkała Węgosza. Pytał jak jest z tą „swoją”. Zaciągnął do sklepu, kupił cukierków.

— Co odrzekłaś?

Jak to ona: niewiele. Że tatko dla niej bardzo dobry jest, mamka też, a po ojcu ma kule.

— Krewnych nie masz, jesteście ci jedyni.

Pewnie. Dalszych ciotek nie odnaleziono. Pogineli po obozach lub powymierali w czasie wojny. Została bez pnia, owoc nie wiadomo jakiej jaboloni.

— Od jesieni jako Marucianka pójdziesz do szkoły w powiecie. Sąd przynaj.

Chciał dziecko dalej kształcić. Gdyby sam ukończył więcej klas, miałby teraz tamtych w kieszeni, a

tak, to oni go mają, lepiej już nie mówić gdzie.

W lecie został przyjęty do „Nowego Świtu”, lecz na wodę puszczali mało. Do załogi dopasowywał się trudno. Na początku, jeśli pływał, to jak dawniej: sam i po płytkim. Dalsze łowiska obsługiwał tutejsi przez Węgosza zdalnie kierowani. Bo Węgosz obojętnie w morze nie wychodził. Zajęty pyskowaniem unikał kuterów. Miał dobrą rybacką renomę i z dawnych czasów i spory grosz z nieco późniejszych. Urzędował teraz ostro. Ale o pierwszym „Świecie” nadal pogadywali różnie, widać nie dla wszystkich rozbiły się jutrzienka. Marucie nic do cudzej kieszeni. Zadowolony, iż szło łżej, czynił starania, by Anujkę umieścić z dala od „kupy”, czyli w Pucku. Właściwie to powinno Marucini. Jeździła do powiatu, jeździła aż dojeżdżała się ziemlaćzków: też bida-z-nedza aż wiało, lecz wyjednała ką i wikt bez opierunku, ludzie z sercem odpuścili stancję za mały grosz. Naprawdę szło łżej. Z końcem sierpnia sąd zaprosił obojga.

Ze spuszczonej głową wrócił nad skarpe. Sprawa wzięła w zły tor: tak niby nic, tylko ten niedostatek; nie mogła im władza posadzić dziewczyny nad pustymi garnkami. Rybacy wypytani urzędowo o stan materialny przybyśza, podmienili mu po sąsiedzku „przesiedlaka” na „gołodupeca” i w ten sposób próbowali odgrodzić od dziecka. Powiedział sędzia: „Kodeks stawia adopcującym warunek miernego przy najmniej dostatk”.

— Przesiedleńcy my, od niedawna zorganizowani w spółdzielnię, najgorzej za nami już. Pojeździemy teraz lepiej, wysoki trybunał. Córke oddajemy do szkół...

— Córke?

— Ano...

Na morzu rzeczywiście ludzie odnosili się doń inaczej niż na lądzie. Czym częściej wychodził z innymi, tym lepiej w obrębie łodzi dostrzegał, iż tamci, to znaczy niby owa „kupa”, są jak wydma: z daleka tacy sami, lecz jeśli popatrzyć z bliskości, złożeni z różnych ziarenek. Fakt ten nie podmywał Węgoszowego biurka, bo Maruta pilnował siebie, na Węgosza i innych się nie oglądał. Łapał morski wiatr, od dawnych nawyków odstępował; odziedziczony po ojcu jeziorny fach uprawiał już według morskiego sposobu.

Z początkiem sezonu przejść miał z łodzi na kuter. Niedługo po tej wieści biurko wyskoczyło Węgoszowi spod łap. Nie posiadał, widać rybak tu tej rutyny co z sterem, może trudniej kierować kawałkiem mebla w ogrzanej izbie, aniżeli ciągnąć wólk i wytaszczać skrzynki z luku.

Przedtem pojechali do sądu drugi raz. Jakby ich mieli skazywać, tak unikali ludzkich oczu przed wejściem do sali rozpraw. Trochę trwało. Podłoga w korytarzu pachniała terem, chłopci w grupach dymili, pluili mniej, nie za mało, stosownie do

powagi miejsca. Znajome twarze są?, nie ma znajomych twarzy? ozory rozpala, że rybacka bida nie dostala rybackiej znajdy. Sprawiedliwa-ż Polska Ludowa? Kiedy kazali wejść, poszukał munduru i ławy. Ławy nie było ani munduru, pokiok tarasowały dwa krzesła, nawet sędzia odział się zwyczajnie. Dziw, iż losy ludzkie można tu przecinać, w obejściu niepozornym jak ich izba, odnależta ongi studenckim letnikiem. Przez okno czerwieniał mur i budynek, tam krata oddzielała kogoś od domu. Powrót do ich domu wiódł poprzez nieszczęście, o którym zaraz usłysza, jeśli ten powrót do domu, budowanego z takim samozaparciem, wiódł w ogóle któredys.

— Sąd na posiedzeniu niejawnym rozpatrzył...

Sąd majątkowy (żaden werdykt nie dotknął nigdy jego stosunku do tamtych; cieni wlaży na mur, okno budynku wsiąknęło w mrok)... zasięgnął też opinii o obywatelskiej zachości i wydał decyzję.

Gdzież ona? W szkole. Wcześniej Maruta zdjął czapkę, wyszedłby

teraz na pole przyłożyć śnieg do czoła, lekka ręką uchwycił żonę za przegub, coś musiał mieć w dłoni. Stał wyprostowany, niższy od tej obok, zwolnionym oddechem hamował klucie w piersi.

Przez korytarz przeszli z spuszczonej głową, grupę rozwarli się, oni nie patrzyli po twarzach, podłoga przestała pachnieć pokładowym dziegiem. Podchodono, słowa tępił dym, szło wyraźnie na burzę: pod nogami pracowały deski. Przywarci szukali w sobie podpory. Zastukały obcasy na schodach, zostali sami przed wejściem gmachu, na ulicy i w drodze do niej. Nim przestąpili próg stacji, daleki dzwon zabił na południe.

Powiedział do Anujki:

— Jesteś naszą córką. Sąd dał.

Podchodziła do nich na palcach, jakaś wyrosła.

Oczami uciekł z jej twarzy na twarz starej. Rzekł:

— Chodź, kupię ci ciastko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Eugeniusz Paukszt

Jak to na wojence...

Zacznijmy od historii. **Jadwiga Nadzieja** opublikowała w **MON-ie** (którego książki dziś wyłącznie omawiam) bardzo starannie przygotowana, opalona pełną dokumentacją pracę pt. „**Generał Józef Zajaczek**”, w której na drodze żmudnych poszukiwań archiwalnych, usiłowała odtworzyć życie tego jakobina w okresie od Kamieńca do Prażi, szczególnie akcent kładąc na czas od konfederacji barskiej do wojny polsko-rosyjskiej 1792, z kolei zaś na udział generała w powstaniu kościuszkowskim, od przygotowań aż po upadek. Dalszymi losami generała obbiecuję autorka zająć się w przyszłości. Tymczasem otrzymujemy jakiś bardzo obiektywny, pełny zarazem obraz najważniejszego okresu życia tego walczonego żołnierza i demokracy. To jedna z ciekawszych postaci naszej historii, wierny kościuszkowski towarzysz, jeden z najdzielniejszych żołnierzy. Autorka ukazuje tę ciekawą sylwetkę w oparciu o dokument, zapis źródłowy, o bezpośrednią relację, co się staje zatem najlepszym dowodem prawdy.

Też historia, ale jakże nam już bliska. Wznowienie pracy **Ludwika Głowackiego „Obrona Warszawy i Modlina”**, jest właściwie nowa jakby pozycja, tak dalece uzupełnił i wzbogacił autor swój tekst o nowe szczegóły związane z kampanią wrześniową. L. Głowacki sprowadza obronę Warszawy i Modlina od granic legendy do właściwych proporcji. Ale kto wie, czy właśnie ta ściśle dokumentarna praca, bez wybryków, z uczciwą oceną minusów i braków, tym bardziej nie podkreśla bohaterstwa ludności Warszawy i dzielnie walczących regularnych jednostek. To w końcu było czymś więcej, niż tylko obrona honoru polskiego, to było również konkretnym militarnym działaniem.

„**Podziemny Front**” **Tadeusza Pietrzaka**, dowódcy drugiej kompanii batalionu „Czwartaków”, tych głośnych partyzantów, z których tylko co czwartki doczekał wyzwolenia, to jedna z najciekawszych książek o walkach

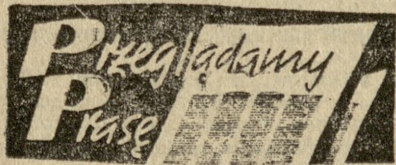
konspiracyjnego podziemia z okupantem, od roku 1943 po Powstanie Warszawskie, walki w lasach lubelskich, a wreszcie w oddziałach skoczków spadochronowych.

Z zupełnie innej płaszczyzny, już nie dowódcy, ale szeregowego żołnierza, snuje wątek wspomnień wojennych **Leonard Michaluk** w książce-pamiętniku „**Żołnierz drogą maszerował...**”, bezpretensjonalnej, skromnej, ale ciekawej relacji walk na szlaku od Lublina po Warszawę i na Wale Pomorskim, ciągle jeszcze zbyt mało spopularyzowanych, zwłaszcza wśród młodzieży.

Inna książka związana ze wspomnieniami okupacyjnymi, tym razem zbudowaną na podłożu psychologicznym, jest opowieść **Józefa Stompory „Człowiek z lancetem”**. Autor, chirurg, zajął się tutaj złożonym zagadnieniem spraw etyki lekarskiej, kładąc nieść ludziom pomoc w każdej sytuacji. Czy także wrogom? I czy — zawsze? Oto wokół tereny partyzanckie. Lekarz z miasteczka dopomaga, operuje, chroni i kryje rannych żołnierzy podziemia. Ale są ranni i Niemcy, żandarmi... Walka... spryt... taktyki, zarazem etyka lekarska, tysiące problemów. A potem niesłuszne, krzywdzące oskarżenia... Dobra, mocna książka, pisana odważnie, nie cofająca się przed ukazaniem prawdy iżw. drażliwych problemów.

I z kolei **Edmund Niziurski** w tomie „**Śmierć Lawrence’a**”, cyklu zrecenzje dramatycznie skonstruowanych opowiadań związanych z codziennością trudnej pracy jednostek WOP-u, gdzie ta codzienność tkąca wszakże bynajmniej nie błahe i nie nudne wydarzenia, gdzie i ofiarność i poświęcenie są każdej chwili potrzebne. Niziurski, jak zawsze, i tutaj umie wydobyc trafny klimat wydarzeń, stworzyć pełną napięcia aure, ukazując na tym ła istotne motywy odczuć i działań ludzkich.

Z KSIĄŻKĄ NA TY



N. S. CHRUSZCZOW MA 70 LAT

Tygodniki i dzienniki czołowe słowny poświęcają Nikicie Siergiejewiczowi Chruszczowowi, który 17 kwietnia ukończył 70 rok życia. „**Polityka**” publikuje obszerny artykuł **Daniela Passenta** pt. „**Podróż do współczesności**”. Autor opisuje liczne podróże przywódcy radzieckiego, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat 55 razy wyjeżdżał za granicę. Autor nazywa te wyjazdy podróżami do współczesności, bo właśnie z kontaktów, bezpośredniego spotykania się z ludźmi, tymi bliskimi i nawet tymi nieprzyjaciłymi, przeciwnikami ideowymi i politycznymi rodziła się w świecie atmosfera odprężenia politycznego, łagodzenie napięcia, likwidacja punktów zapalnych, których nie brak na tym „najlepszym ze światów”. Topniała wrokość, rosło zaufanie. D. Passent ukazuje geografie podróży Chruszczowa i charakteryzuje ich znaczenie. Podróż Chruszczowa stała się bowiem integralną częścią jego stylu pracy. Oto, co między innymi stwierdził Chruszczow w przemówieniu telewizyjnym po powrocie z podróży do USA:

„Odniosłem wrażenie, że prezydent Kennedy rozumie wielką odpowiedzialność, jaka spoczywa na rządach dwu, tak potężnych państw... Nikt też, oczywiście, nie oczekiwał, że osiągniemy całkowite porozumienie. Drogi, którymi zdążają oba nasze państwa, są zbyt rozbieżne, aby można było to liczyć.”

Ze wszystkich kontaktów na Zachodzie Chruszczow — jak pisze Passent — najwięcej uwagi poświęca rozmowom z prezydentami USA, podkreślając stałe, że problemy współczesne mogą być rozwiązywane tylko pod warunkiem porozumienia się dwóch największych mocarstw.

CO PANA BOLI, INŻYNIERZE!

To tytuł artykułu **Wiesława Wernica** w „**Tygodniku Demokratycznym**”. Autor pisze między innymi o niedoborze kadr inżynierskich (aby zaspokoić potrzeby naszej gospodarki do 1980 r. wyższe uczelnie techniczne powinny wyszkulić około 290 tysięcy młodych inżynierów, tymczasem obecnie kształcimy rocznie około 7 tysięcy). Interesujące są spostrzeżenia, oparte na wynikach ankiety przeprowadzonej przez Pracownię Socjologiczną Centralnego Instytutu Ochrony Pracy w 21 zakładach przemysłowych dużych i małych miast. Przebadano 215 inżynierów w wieku od 23 do 30 lat włącznie. Wielu z ankietowanych skarży się na zły stosunek dyrekcji do inżynierów.

„Odniosłem wrażenie, że prezydent Kennedy rozumie wielką odpowiedzialność, jaka spoczywa na rządach dwu, tak potężnych państw... Nikt też, oczywiście, nie oczekiwał, że osiągniemy całkowite porozumienie. Drogi, którymi zdążają oba nasze państwa, są zbyt rozbieżne, aby można było to liczyć.”

„Dyrekcja przyjmuje nonszalanek ton wobec inżynierów, oświadcza, że ma ich mieć na pęczki. Wobec tego, zamiast dbać o inżynierów, już zatrudnionych, przyjmuje nowych. Skutek taki, że w ciągu roku zmienia się niemal cały personel inżynierski.”

Niektórzy uważają, że nie są wykorzystywani w pracy zgodnie ze swą specjalnością (aż 31,2 procent). Stąd rodzi się niekiedy poczucie zbezczesności. Ale sami inżynierowie też nie są bez winy. 47 procent z nich, narzekając na niedociagnięcia organizacyjne zakładu pracy, równocześnie wcale nie ceni wysoko zdolności organizacyjnych i potrzeby znajomości zasad organizacji w przedsiębiorstwie. Zaledwie 4,7 procent wskazuje na konieczność posiadania umiejętności współzycia i kierowania ludźmi. A więc coś w rodzaju przysłowiowej słomki w oku bliźniego i belki we własnym.

„Zawodowe bóle” — kończy autor — nie sprzyjają ani postępowi technicznemu, nie sprzyjają też dobremu samopoczuciu ludzi, ten postępowi w praktyce realizujących. Wnioski — pod rozwagę ośrodków kierowniczych naszego przemysłu, którego mózgiem jest kwalifikowany i mądry inżynier.”

„WOLNA” EUROPA

„**Kultura**” publikuje drugi odcinek artykułu **Janusza Kolczyńskiego** pt. „**Pour le roi de Prusse...**”, w którym autor pisze o prawdziwym obliczu Radia Wolna Europa. W poprzednim „**Głosie Tygodnia**” relacjonowaliśmy obszernie pierwszy artykuł tegoż autora. W drugim artykule J. Kolczyński omawia konsekwencje związane z usytuowaniem Rozgłośni RWE na terenie Niemiec zachodnich. Przy wyborze NRF i Monachium na siedzibę RWE decydowały nie tylko względy techniczno-terytorialne ale przede wszystkim polityczne. Niemcy zachodnie bowiem odgrywały i nadal odgrywać decydującą rolę w podtrzymywaniu „zimnej wojny”.

„Panoszenie się Niemców w RWE w poprzednich latach przyjmowało wręcz dyktatorskie rozmiary. Oni cenzurowali audycje, wtrącali się do wszelkich spraw programowych tak dalece, że żądali formułowania tekstów w sposób wprost podważający słuszność granic na Odrze i Nysie (...). W końcu nawet sami Amerykanie doszli do wniosku, że sprawy zasłyły za daleko i zagrażają nadmiernym uszytym proniemieckiej linii rozgłośni.”

Przeprowadzono w latach 1960—1961 reorganizację, jednak Niemcy otrzymali

niezbędna gwarancję, że RWE nie będzie zajmować stanowiska wobec problemu Odry—Nysy, ziem zachodnich, rewizjonizmu zachodniemieckiego oraz nie będzie podejmować krytyki rządu NRF. I porozumienie to jest ściśle przestrzegane.

POLECAMY...

...również kilka innych interesujących pozycji w naszych tygodnikach i dwutygodnikach. „**Głos Nauczycielski**” szereguje relacje o obrady VIII Zjazdu ZNP w czasie którego wybrano nowe władze tej wielkiej i pełniącej odpowiedzialne funkcje organizacji. Prezesem — przypominamy — został poznański pedagog Marian Walczak. „**Tygodnik Kulturalny**” w artykule **Stanisława Gołębiowskiego „Zbrodnia i bezkarność”** protestuje przeciwko przedawnieniu zbrodni hitlerowskich. Tenże tygodnik zamieszcza interesujący artykuł **Franciszka Nasińskiego** pt. „**Gospodarstwo podupadłe**”. „**Walka Młodych**” przynosi reportaż z morałem **Piotra Smolińskiego** pt. „**Marynarski melodramat**”. „**Szpilki**” cała kolumna poświęca ry-sunkom jubilat **Eryka Lipińskiego** oraz podaje — starym zwyczajem — nowe hasło tygodnia: „**Nie bij się w piersi poniżej pasa!**”.

LEKTOR